

Ludwik Erhardt

(1934–2022)

To było blisko 40 lat znajomości. Znajomości, która od relacji Wielki Erhardt – młódka z IV roku muzykologii, przez fazę Mistrz–uczenica, potem Szef i jego „prawa ręka”, przerodziła się w serdeczną, pełną wzajemnej troski przyjaźń, której nie zdołały przerwać nawet moje zaangażowanie w tworzenie magazynu płytowego „Studio”, a w końcu zawodowa zdrada, kiedy na rzecz „Studia” zrezygnowałam ze stanowiska sekretarza redakcji #. Nigdy nie usłyszałam złego słowa, nawet gdy zdarzyło mi się w bardzo trudnym dla mnie okresie przesłać sześć kolumn prowadzonego przeze mnie działu płytowego dopiero w dniu wysyłki pisma do druku. Czy w odwrotnej sytuacji byłoby mnie stać na takie opanowanie?

✎ Ewa Pikulska

Trafiłam do # w połowie lat osiemdziesiątych, kiedy jak z nieba spadła mi propozycja opracowywania drobnych informacji o bieżących wydarzeniach muzycznych. Edytorstwo było już wtedy moim planem na zawodową przyszłość, więc lepszej szkoły nie mogłam sobie wymarzyć. Przy Ludwiku redaktorskie rzemiosło można było chłonąć właściwie przez osmozę – wystarczyło obserwować, jak celnie wyłapywał słabości poszczególnych artykułów, jak merytorycznie uzasadnione były to uwagi, z jaką klasą rozmawiał z autorami i – koniec końców – ile teksty zyskiwały na wprowadzonych zmianach. Co bardziej drażliwi autorzy zrażali się i przyklejali Naczelnemu łatkę wyniosłego, kto miał w sobie odrobinę samokrytycyzmu – posypywał głowę popiołem, dziękował za uwagi i następnym razem starał się dużo bardziej.

Praktykowanie przy nim i szkoła ówczesnej sekretarza redakcji Renaty Pragłowskiej-Woydtowej dały mi na pewno więcej niż jakiekolwiek studia. Jak komfortowe to były warunki! Z tygodnia na tydzień coraz bardziej doceniałam klasę ludzi, wśród których miałam okazję przebywać. Właśnie przebywać, bo z tamtych czasów nie został mi w pamięci obraz harującego w pocie czoła zespołu. Pan Szef, sam niezwykle uporządkowany, jeśli chodzi o zarządzanie swoim czasem, tego samego oczekiwał od kolegów – większość pracy wykonywało się w spokoju w domu, a rozliczani byliśmy tylko z jakości jej wykonania. Siedziba redakcji służyła za miejsce roboczych spotkań dobrych znajomych: tu można było zostawić maszynopis (to był czas bez komputerów...), podzielić się przemyśleniami, wrażeniami ze świeżo wysłuchanych interpretacji albo garścią ploteczek (...i bez internetu), przegadać z kolegami (byli wtedy w zespole Tadeusz A. Zieliński, Bohdan Pocię czy Tadeusz Kaczyński) nowe pomysły. A wszystko przy akompaniamencie stukającej w sąsiednim pokoju maszyny do pisania, z kawą plujką w szklance i nieodłącznym papierosem (wówczas poza mną paliła cała redakcja).



Ludwik Erhardt, fot. Andrzej Zborski

Jako szef bywał ostry i przenikliwy w ocenach, ale nigdy nie szukał konfliktu, unikał dyscyplinujących rozmów. Ostre reprimendy czy podniesiony głos – to nie jego styl. Za to wypowiedziana spokojnym głosem cięta i celna uwaga niejednemu poszła w pięty. Najczęściej przymykał oko na nasze drobne redaktorskie grzeszki, bo cenił święty spokój i kulturalną atmosferę. Nawet na burzliwych kolegiach mówił cicho, wymuszając uwagę i studząc atmosferę. W sporach przyjmował postawę obserwatora – z uwagą słuchał rozmówcy, adwersarzom pozwalał się wygadać, swoją opinię zostawiając na koniec.

Niechętnie zmieniał swoje przyzwyczajenia i w życiu codziennym niełatwo było przekonać go do nowych rozwiązań. W latach dziewięćdziesiątych, kiedy do # zawitała technika i cała obróbka redakcyjna przeniosła się wreszcie na komputer, Ludwik uparcie trzymał się ukochanej starej olympii. Wystukiwał na niej swoje teksty po to tylko, żeby za moment dać je maszynistce do przepisania na wersję cyfrową. Gdy w końcu udało mi się posadzić go przed klawiaturą i sam poczuł, jaka to wygoda, zaczął się inny problem – całe godziny spędzał na wpisywaniu maszynopisów innych autorów! A moje komentarze, że szkoda redaktora naczelnego do takiej czynności, ucinął: „ale ja jednocześnie redaguję”.

Był niezrównanym mistrzem krótkiej formy. Tworzone przez lata teksty „Od Redakcji” są kwintesencją jego stylu pisarskiego i tego, jakim był człowiekiem. Są w nich elegancja, rygor, precyzja słowa, humor, życiowa mądrość i odwaga w poruszaniu publicznie tematów, o których mówi się tylko po cichu. A przecież prawie co numer słyszałam: „Muszę na jutro napisać «Od Redakcji», ale nie mam zielonego pojęcia, o czym”.

Znamy go jako wyważonego w sądach erudyty; autora, którego teksty można było w ciemno puszczać do druku, a wypowiedzi dawać na antenę niemal bez montażu. Ale lubił też prostą, konkretną robotę. Gdzieś na początku lat dziewięćdziesiątych zaproponował, że... skróci mi blat biurka. Moje żachnięcie skwitował: „ciągle tylko litery i litery, czytam, piszę, gadam, ale to nic

konkretnego, namacalnego, a tu ciach i widzę, że jest zrobione; biurko się mieści”.

W 2008 roku Ludwik zamknął współpracę z # i wyjechał z Warszawy, by doglądać przebudowy domu w dalekich Księżycach. To tam, wraz z żoną Magdą Czajką, pełni nadziei tworzyli swój raj na ziemi. Cieszyli się nim ledwie parę lat, bo los miał dla nich niestety kiepską kartę. Starałam się towarzyszyć mu – siłą rzeczy głównie korespondencyjnie – w długich trudnych latach po śmierci Magdy, kiedy zabrakło już na świecie ważnych dla niego ludzi i spraw... I gdy choroba oczu coraz skuteczniej odcinała go od tego, czym żył: czytania, pisania i redagowania. Czy spłaciłam swój dług? Chyba nie. Czy przy tych wszystkich przegadanych razem godzinach powiedziałam kiedykolwiek, jak wiele mu zawdzięczam? Nie pamiętam. Może jednak to czułam.

“ Nie może być
mowy o WOLNOŚCI
w warunkach dyktatury,
w warunkach
niepodzielnego panowania
jednej idei artystycznej,
gdy mała grupka ludzi
posiada MONOPOL
na uprawianie postępu
i kształtuje opinię, opierając
się na rozumowaniu:
kto nie jest z nami,
jest przeciw nam

Przykręcam śrubę, #24/1960, s. 8

ŻEGNAJ, REDAKTORZE

✎ Olgierd Pisarenko

Przyszedł na świat w 1934 roku pod Grodnem. Dla najbliższych Jurek, dla czytelników i współpracowników Ludwik, studiował muzykologię na Uniwersytecie Warszawskim. Nie zatroszczył się o dyplom (o czym opowiadali sobie na ucho przykładni studenci). Uznał, że to nuda i strata czasu. Wcześniej odkrył w sobie temperament krytyczny i pisarski, zaczął publikować już jako 20-latek, debiutując bodajże w „Przeglądzie Kulturalnym”. Polski Październik umożliwił reaktywację zawieszonoego w 1949 # i Jurek w młodym wieku znalazł się w kręgu redaktorów pisma wydawanego przez PWM w Krakowie. A że większość redaktorów i współpracowników mieszkała w stolicy, gdzie także pod względem muzycznym działo się najwięcej, redakcję rychło przeniesiono do Warszawy.

Na czele warszawskiego # stanął Zygmunt Mycielski – to on swoim autorytetem nadawał pismu kierunek, reprezentował stanowisko zespołu wobec władz i wydawcy. Ludwik Erhardt był wtedy człowiekiem od codziennej orki na redakcyjnym ugorze. Gdy w 1968 partyjne czynniki usunęły Mycielskiego, przejął odpowiedzialność za redakcję, choć na oficjalną nominację przyszło mu czekać ponad dwa lata na stanowisku p.o. redaktora naczelnego.

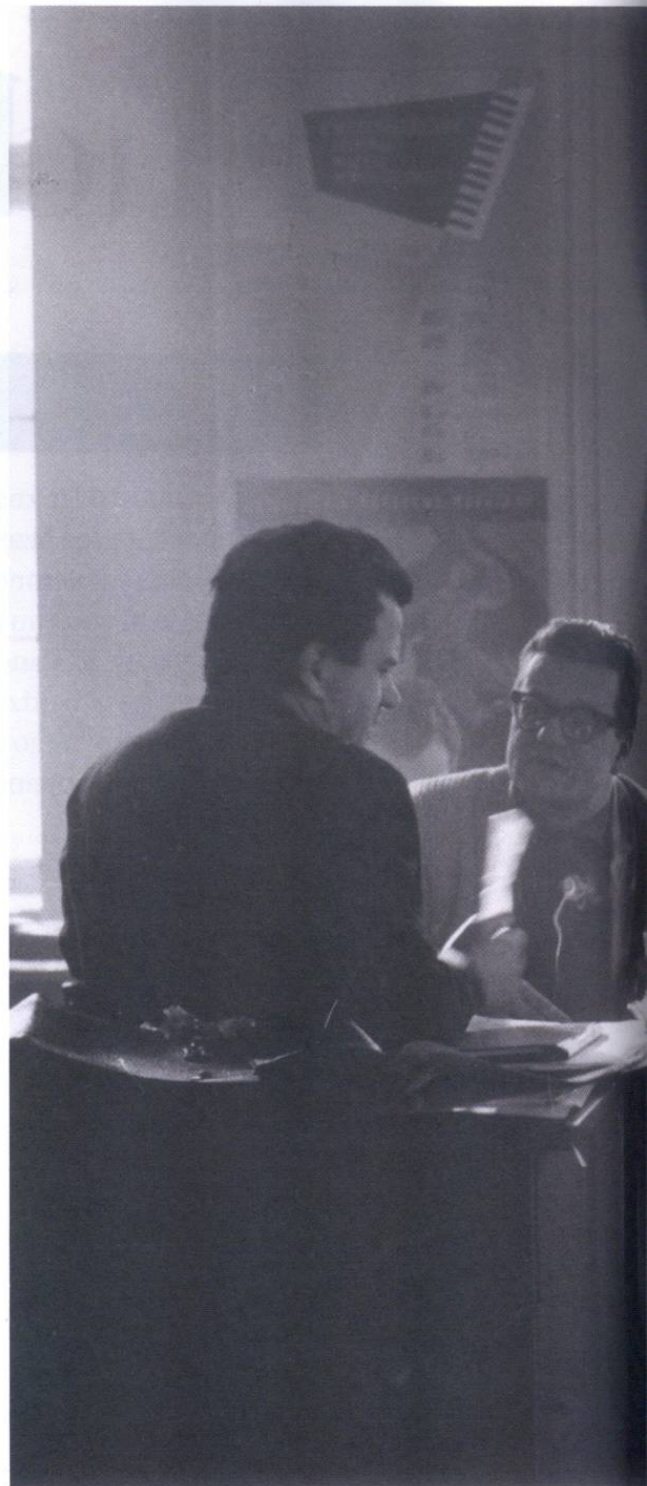
Nieprzyjaciel mętniactwa, pustosłowia i pretensjonalności był w swym pisarstwie wzorem precyzyjnej i celnej narracji, a jako redaktor wyprowadził na prostą tysiące niezręcznie napisanych tekstów – mnie zaś nauczył,

jak się to robi. Jako autor był znakomitą felietonistą, błyskotliwym i dowcipnym, w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych porównywalnym z ówczesnymi mistrzami polskiego felietonu: Słonimskim, Passentem, KTT czy Hamiltonem. Potrafił w swoich tekstach boleśnie uderzyć – przypomnę panikę moralną związków zawodowych w świeżo otwartym Teatrze Wielkim, gdy w felietonie „Kultury” wyznał, że podczas inauguracji najbardziej podobały mu się... toalety. Na łamach # przez parę dekad lat pisywał mikrofelietony „Od Redakcji”, które chętnie porównywaliśmy do podobnych form uprawianych przez Roberta Escarpita w „Le Monde”.

Tym, co przyciągało do niego ludzi (choć podobno niektórych od niego odpychało), były przenikliwa inteligencja i wyjątkowe poczucie humoru: chłodne, wytrawne i eleganckie. W redakcji umiał stworzyć atmosferę swobody twórczej i koleżeńskej współpracy, mimo że pomysły i decyzje rodziły się w dyskusjach, nieraz dość zażartych. Redakcja była zresztą swoistym klubem, miejscem wymiany myśli, chętnie odwiedzanym przez autorów, współpracowników czy po prostu przyjaciół. Takiego # w dobie internetu i poczty elektronicznej już nie będzie. Mogę sobie tylko powinszować, że zdążyłem na koniec tamtej epoki.

Pozostawił po sobie dobry tuzin książek, które chyba nieprędko się zestarzeją. Obok zbiorów wspomnianych felietonów poczesne miejsce na tej półce należy się świetnej klasy biografistycy (prace o Brahmsie, Pendereckim, Strawińskim i Schumannie) oraz esejom historycznym przedstawiającym rozmaite zjawiska z dziejów muzyki na szerokim tle kulturowym. Działal w zarządzie Związku Kompozytorów Polskich, między innymi jako wiceprezes stowarzyszenia.

Po przejściu na emeryturę zdecydował się osiąść na dolnośląskiej wsi, gdzie zbudował swój kolejny dom, a właściwie przekształcił wiejską zagrodę w pełną światła i przestrzeni rezydencję. Odszedł 11 marca. Żegnaj, Redaktorze.





WSPOMINAJĄC LUDWIKA ERHARDTA

✎ Józef Kański

Ludwik Erhardt jawi się w mych wspomnieniach jako wybitna osobowość oraz postać o nieprzeciętnej inteligencji. Bliższe kontakty nawiązaliśmy, kiedy #, powołany do życia w Krakowie przez Tadeusza Ochlewskiego, przeniósł się do Warszawy i zyskał świetnego redaktora naczelnego w osobie Zygmunta Mycielskiego, a kolega Erhardt został jego zastępcą. Wówczas to miałem możliwość zaobserwować, jak rozległą i wszechstronną ma wiedzę (choć nie ukończył żadnej wyższej uczelni, a jedynie napoczął studia muzykologiczne) oraz wyjątkowe zdolności organizacyjne. Gdy zaś po odejściu ze stanowiska Mycielskiego (który, poza hrabiowskim tytułem, także swoimi poczynaniami ponad miarę naraził się komunistycznym władzom) został nowym naczelnym, ujawniła się jego cenna umiejętność budowania harmonijnych więzi międzyludzkich – zarówno wewnątrz redakcyjnego grona, jak i ze współpracownikami w kraju i za granicą. Nadto zaprezentował swój nieprzeciętny talent pisarski, zamieszczając w kolejnych numerach # zgrabne i mądre wstępne felietony, a w razie potrzeby publikując także obszerniejsze teksty. A jego działalność nie ograniczała się przecież jedynie do publicystyki.

Kiedy któregoś lata pozwoliłem sobie odwiedzić go całkiem prywatnie w jego malowniczej posiadłości nad jeziorem Wigry, dał się poznać jako niezmiernie sympatyczny i gościnny gospodarz, rozmówiony przy tym, jak i ja, w dzikiej przyrodzie. Znajomość nasza, którą można, jak sądzę, określić mianem przyjaźni, trwała bardzo długo i wydawałoby się, że tak będzie zawsze. Trudno mi doprawdy uwierzyć, że już go nie ma; był przecież o kilka lat ode mnie młodszy...

Redakcja #, od lewej: Hilary Krzysztofak, Zdzisław Sierpiński, NN, Zygmunt Mycielski, Ludwik Erhardt (stoi), fot. Andrzej Zborski

Było dawno, ale ZAPOMNIEĆ SIĘ NIE DA

✎ Elżbieta Szczepańska

Pozbawione wolności, w tym swobody podróżowania, pokolenie Ludwika Erhardta miało, jeśli tylko chciało, dostęp do sporego zasobu wiedzy ludzi wolnych. Wiedzy nabytej przez lekturę książek zakazanych, jak wydawnictwa paryskiej „Kultury” i ona sama. A potem przyszła lekcja historii politycznej i artystycznej, jaką otrzymaliśmy dzięki Niezależnej Oficynie Wydawniczej „Nowa”, wydawcy kwartalnika „Zapis” i wielu cennych książek, poezji i prozy. To były źródła, które, dzięki kolportażowi zorganizowanemu lub prywatnemu, wchłaniało się jak strawę codzienną. Jestem absolutnie pewna, że Erhardt ten kurs przeszedł, chociaż nigdy z nim na ten temat nie rozmawiałam.

Od zarania swych dziejów # – jego zespół, redaktorzy naczelni, częstotliwość ukazywania się, wydawcy, format i siedziby – zmieniał się w rytmie kolejnych wolt ustrojowych. Tę, czasem ciężką, przypadłość przejął wraz z tytułem od swego historycznego poprzednika, XIX-wiecznego # Józefa Sikorskiego. Zwornikiem obu wcieleń pisma były wysoka kultura i przyzwoitość – jakkolwiek niewymyślnie by to brzmiało – redaktorów naczelnych. Nigdy nie uczestniczyli w żadnych nagonkach czy sterowanych odgórnie kampaniach. Mimo to XX-wieczny # przetrwał polityczne burze i istnieje nadal.

Członkowie redakcji tworzyli zbiór tak silnych indywidualności, niekiedy ekscentryków, że złożenie z nich zespołu musiało być dużą sztuką. Erhardt ze swą klasą i kulturą osobistą świetnie się do tego nadawał. Ekscentrykiem chyba nie był. Klasa i kultura – to pierwsze, co przychodzi mi do głowy, gdy o nim pomyślę. Następne to elegancja: w sensie dosłownym mogła oznaczać czarną aksamitną marynarkę, którą przywdziewał na specjalne okazje, ale też doskonale, przedwojenne maniery, sposób bycia i stosunek do innych.

Wszystko to widać było gołym okiem, ale nic bliższego o nim nie wiedziałam. Nigdy nie byliśmy na „ty”, nigdy nie spotykaliśmy się towarzysko – inaczej niż z „Zielem”, Tadeuszem Kaczyńskim czy Bohdanem Pociemem. Ale myślę, mam nadzieję, że mnie lubił: wystarczająco długo znosił mnie jako autorkę. Sympatię odwzajemniałam.

Łatwo tolerował różne moje dziennikarskie wybryki. Raz nawet przyłączył się (zresztą razem z redaktorem graficznym) do specjalnego, primaaprilisowego wydania mojej kolumny. Podpisywałam ją Jan Żak. „Jean Jacques” – zauważył kiedyś z uśmiechem Redaktor Erhardt i wtedy zdałam sobie sprawę, że pseudonim może być odbierany jako uzurpacja, co z właściwym sobie gapiostwem – nie mówiąc o niedostatecznym oświeceniu – przeoczyłam.

Nowa generacja przejęła część wiedzy pokolenia poprzedników, ale nie wszystko (szkoda, że tak zawsze było i będzie). Może nie chce, bo przecież studiuje gdzie chce i jeździ dokąd chce. Ma inne doświadczenia, inne zadania, co innego czyta, jeśli czyta. Spieszy się. Musi nadrobić straty w poznawaniu świata i nowoczesnych technologii.

NATURALNY I KAMERALNY

✎ Dorota Szvarcman

Ludwika Erhardta poznałam w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. Po studiach kompozytorskich byłam w stanie zawieszenia zawodowego i z pisania muzyki zaczęłam się przestawiać na pisanie o muzyce.

Moim pierwszym miejscem pracy był nieistniejący już kwartalnik „Polish Music/Polnische Musik”, ale nawiązałam też kontakt z #. Jako początkująca w tej dziedzinie byłam jeszcze nieśmiała, a redaktor naczelny wydawał mi się osobą zdystansowaną. W bezpośrednim zetknięciu szybko poczułam się bardziej komfortowo. Zawsze ceniłam sobie konkret, dyscyplinę myślenia, erudycję i kulturę osobistą, a Ludwik Erhardt był wręcz uosobieniem tych cech. Z czasem odkryłam kolejną, również ogromnie mi bliską – bardzo szczególne, wyrafinowane poczucie humoru.

W # zaczynałam oczywiście od recenzji z koncertów, ale od razu miałam też nietypowe pomysły. Naczelny, choć muzyką współczesną interesował się mniej, był otwarty i na tę tematykę, i na propozycje formalne (jeden z moich pierwszych większych artykułów był kolażem). Uczyłam się pisanie na bieżąco, obserwując, w jaki sposób teksty są redagowane. Większość z tego, czego się dowiedziałam o tym zawodzie, zawdzięczałam ówczesnej redakcji z Ludwikiem Erhardtem na czele. Najbliższe moje kontakty z # przypadły na lata osiemdziesiąte. W tym czasie większość tam pracujących stanowili ludzie mniej więcej w zbliżonym wieku i byli to mocne osobowości: Tadeusz A. Zieliński, Józef Kański, Bohdan Pocię, Tadeusz Kaczyński i wspaniała redaktorka Renata Prażłowska-Woydtowa. O kilkanaście lat młodszy był tylko Olgierd Pisarenko. W tym towarzystwie Erhardt nie był mentorem (tę rolę miał podjąć z czasem, gdy do zespołu zaczęli dołączać młodszy), lecz naturalnym autorytetem. Nigdy nie byłam formalnie częścią redakcji, ale przychodziłam do niej jak do domu, a z większością kolegów się zaprzyjaźniałam, w tym z Ludwikiem (prywatnie Jurkiem), który choć potrafił być złośliwą bestią, miał w sobie całe pokłady ciepła.

Na każdy jego wstępniak czekało się z lubością i ciekawością, komu tym razem finezyjnie przyłoży. Ale ja przede wszystkim cenię sobie jego monografię: Brahmsa, napisaną z prawdziwą subtelnością (kiedyś mi się zwierzył, że będąc studentem muzykologii, próbował komponować w jego stylu), i Strawińskiego – z fascynacją zarówno osobą, jak i epoką. Szczególną wartość ma też książka o młodym Pendereckim, ponieważ jest to spojrzenie z bliska: niemal równolatkiem, przez pewien czas byli zaprzyjaźnieni, a Erhardt dla niego robił wyjątek od swojego dystansu do muzyki współczesnej, bo czuł, że to jest coś nowego, świeżego. Rozluźnienie tej przyjaźni przypadło na czas zwrotu w stylistyce kompozytora i nie wiem, czy to tylko zbieg okoliczności.

Ciekawy był jego osobisty stosunek do słuchania muzyki – nie przepadał za chodzeniem na koncerty. Może dlatego, że nie znosił w ogóle tak zwanego bywania, snobizmu, pokazywania się. Był osobą absolutnie naturalną, kameralną z usposobienia, a kontakt z muzyką traktował jak sprawę intymną. Wolał słuchać jej w domu, sam lub w dobranym towarzystwie. Pamiętam taki wspólny seans: na przystawkę *Concerti grossi* Händla (uwielbiał go bardziej niż Bacha), na pierwsze danie *IX Symfonia* Beethovena pod Rogerem Norringtonem (to była wówczas nowość), na danie główne cały (!) *Żywiot rozpustnika* Strawińskiego, a na deser... *Wariacje goldbergowskie*, oczywiście w wykonaniu Glenna Goulda z 1980 roku. Prawdziwa uczta Lukullusa.

Maszyna do pisania marki Olympia należąca do Ludwika Erhardta, fot. Marek Knap



NADREDAKTOR...

...*Pan Szeff, Pan Ludwik* – to kilka z wielu tytułów nadawanych w mowie i piśmie przez zespół redakcyjny i zaprzyjaźnionych autorów Ludwikowi Erhardtowi w latach jego SŁUŻBY w #

✎ Kacper Miklaszewski

Służby, bo chociaż Pan Szeff miał ogromny udział w wypracowanej kolegialnie linii programowej pisma i bywał niekiedy uparty, to nigdy nie opuszczało nas przekonanie, że # jest głosem i kroniką środowiska muzycznego. Naczelny wielokrotnie podkreślał, jak ważne jest utrwalanie na naszych łamach przejawów życia muzycznego, tworzenie forum, na którym idee mogły się zderzać i wykluwać. Do roli moderatora i arbitra nadawał się znakomicie: dystyngowany, wolny od egzaltacji, fantastycznie inteligentny, wszechstronny (swobodnie posługiwał się między innymi programami do składu i przygotowania druku), błyskotliwy i – co najważniejsze – autorytet w dziedzinie historii: muzyki, sztuk wszelakich, kultury, prądów ideowych, historycznych zawirowań. Gdy pojawiały się wątpliwości – sypał faktami, gdy pisał – zawsze sprawdzał źródła.

Miał przy tym lotne pióro. Jak lotne, dowodzą nie tylko setki tekstów drukowanych w # – zawsze z puentą i dających do myślenia – lecz także frapujące monografie Brahmsa i Strawińskiego, wspaniałe *Szkice do monografii* Roberta Schumanna. O talencie popularyzatorskim Nadredaktora niech świadczy zbiór artykułów z lat 1982–1987, *Spacerem po historii muzyki*, który miał „zapropionować czytelnikowi spojrzenie na dzieje muzyki z szerszej humanistycznej perspektywy”. Był naszym mistrzem i przewodnikiem w dziedzinie publicystyki muzycznej. Mistrzem otoczonym podziwem, a nie dworem. Nie znosił celebry.

W ciągu kilkunastu lat pracy w redakcji ani razu z jego ust nie usłyszałam rozkazu lub polecenia stanowczego. Za to bardzo często pytania o opinie i merytorycznie uzasadnione sugestie. Wskazówkę: „czytelnika nie interesują przeżycia i emocje recenzenta; on chce się dowiedzieć, co się stało, na czym polegał problem i jak został rozwiązany” – powtarzam młodym do dziś, zwłaszcza felietonistom. Świetnym przykładem wirtuozerii publicystycznej Pana Ludwika są wstępniaki. Pisał je od roku 1973 do 2008. Część z nich można znaleźć w książce zatytułowanej *Circa 180* – od liczby słów, jakie mieściły się na przestrzeni dla takiego tekstu przeznaczonej. To lapidarna, celna, ale też pełna wdzięku i dowcipu kronika życia nie tylko muzycznego – kraju i świata.

Łączyły nas uczucia, bo sprawić, by emocje rezonowały, nie było trudno. Pod powłoką elegancji i dawnych manier krył się człowiek niezwykle wrażliwy. Podziwiałem jego miłość do opery, fascynację muzyką nową, kibicowanie rozwojowi nurtu wykonawstwa historycznego. Ciepło rozlało się szeroko, gdy – przypadkiem, przy recenzowaniu płyty – okazało się, że obaj wielbimy osobę, doskonałość warsztatową i piękno muzyki Josepha Haydna. Potem już były tylko wymiany nagrań i poglądów na interpretacje. Czasem nawet zaswędziały oczy...

Tak jak dziś. Takich chwil i lat się nie zapomina. Wielki smutek wypełnia nasze serca...

Mądry PARTNER w trudnych SYTUACJACH

✎ Danuta Gwizdałanka

Ludwik Erhardt miał świetne pióro, jedno z najlepszych w Polsce, z ogromną przyjemnością zawsze czytałam jego teksty, był też znakomitym redaktorem. Kontakty prywatne, niezbyt niestety częste, wspominam ogromnie miło, ponieważ był mądrym, rozważnym partnerem w trudnych sytuacjach, przenikliwym rozmówcą, niekiedy ironicznym, zawsze jednak cechowało go trzeźwe spojrzenie na świat. Jeśli człowiek zaczynał się zbyt unosić, bo mówimy o czasach, które sprzyjały emocjonalnym uniesieniom, potrafił uspokoić interlokutora. Może jego umiejętność tonowania nadmiernych emocji, zwracanie uwagi na konieczność spojrzenia na sprawy z różnych stron, pomogła mu utrzymać się tak długo na stanowisku szefa redakcji.

Moja współpraca z nim i z # zaczęła się od tekstu o muzyce kurpiowskiej, który stanowił rodzaj streszczenia mojej pracy magisterskiej. Potem miała być recenzja z festiwalu monograficznego Czajkowskiego, ale nadszedł 13 grudnia 1981 roku i tekst się oczywiście nie ukazał. A potem, był to już rok 1984, Erhardt zaproponował mi napisanie tekstu o muzyce kameralnej do serii poświęconej historii muzyki. Gdy zaś dowiedział się, że zdobyłam książkę o Andrzej Panufniku, co wówczas nie było takie łatwe, zasugerował, bym napisała i o niej. Uważałam, że są lepsi kandydaci, przede wszystkim z pokolenia Panufnika. „Oczywiście, że pomyślałam o nich, ale wszyscy odmówili” – odpowiedział. Jeśli więc później zajęłam się innymi kompozytorami, to on mnie do tego sprowokował. Efektem moich rozmów z Ludwikiem było na przykład zainteresowanie się ekologią muzyki. To z nim ustalałam rozmaite cykle sążnistych tekstów, z których potem zrodziła się choćby książka *Muzyka i polityka*. Zawsze namawiał do niestandardowego oglądu świata i zjawisk – stąd cykl felietonów *Przeminęło z wiekiem* w 2001 roku – i doskonale bawił się, gdy samodzielnie albo z Krzysztofem Meyerem wymyślałmy artykuły na prima aprilis.

Dostawałam od niego rozmaite sugestie, teksty po redakcji nabierały dodatkowego poloru, a nietrafiony pomysł potrafił celująco skomentować. Gdy kiedyś poleciłam mu kolegę jako potencjalnego współpracownika #, po pewnym czasie usłyszałam: „Czy rekomendując tę osobę, byłeś zupełnie trzeźwy”? Faktycznie, kiedy zobaczyłam tekst, jaki otrzymał, złapałam się za głowę. Recenzja była równie krótka, co trafna. Podobnie lakoniczny i celny był w prywatnych rozmowach. Mój mąż, który pracował z nim w Związku Kompozytorów Polskich, też twierdzi, że na różnych zebraniach Ludwik odzywał się tylko wtedy, gdy miał coś istotnego do powiedzenia.

Odszedł wspaniały człowiek. Ogromny żal, że nie można mieć już nadziei na chociaż jeszcze jedno spotkanie.

notował Jacek Marczyński

Powitał mnie w redakcji wiosną 1965 roku. Fakt ten zaważył na całym moim życiu. Ludwik Erhardt uczynił mnie osobą piszącą, z czego wciąż czerpię satysfakcję. Przez długie lata współpracy z # dręczyło mnie poczucie niestosowności, że człowiek tak mądry traci czas na poprawianie przecinków w tekstach moich i innych autorów, zamiast samemu pisać książki. Bo przecież pisał świetnie. Zawsze nadawał swemu piarstwu, choćby dyskretny, ale osobisty ton, a muzykę umieszczał w szerszej, humanistycznej perspektywie. Jego *Brahmsa* (1969) i *Igora Strawińskiego* (1978) zaliczam do najlepszych polskich monografii kompozytorskich. Moja ulubiona *Sztuka dźwięku* (1980), wydana żałośnie ubogo przez ambitne wtedy WAiF, to pozornie rzecz popularna, ale w rzeczywistości fascynująca rozprawka o istocie muzyki w zmieniającej się kulturze. Mała nieoceniona książeczka *Balety Igora Strawińskiego* (1962) wciąż bywała mi przydatna. Artykuły, felietony i recenzje z # – ale też „Przeglądu Kulturalnego”, „Kultury” czy „Nowych Książek” – na szczęście zostały zebrane w zbiorach *Papierowe nosy* (1970) i *Poniżej muzyki* (1972).

Jako redaktor naczelny # przez niemal cztery dekady przeprowadzał czasopismo przez zawirowania polityczne, lokalowe, personalne i technologiczne. Kiedy nastał stan wojenny i zaostriżyła się cenzura, wprowadził na środkowe karty każdego numeru szkice o historii muzyki. Najwięcej napisał sam – znakomitych! Szczęśliwie Anna Ciechanowicz sprawiła, że ukazały się w edycji książkowej (*Spacerem po historii muzyki*, t. 1–2, 2012). Króciutki zwiastun każdego numeru „Od Redakcji” także był jego pióra. Ach, żeby złożyć w całość te kilkaset, zaczętych często, a zawsze odbijających aktualność, puzzli, jakież ciekawy powstałby obraz wydarzeń muzycznych w minionym czasie! Jakim zaś był redaktorem naczelnym, najlepiej oddaje moment, gdy podjął decyzję o odejściu ze stanowiska i zaplanował długi okres bezradności: któż może zająć jego miejsce? Po różnych próbach, redakcja dała nawet bezprecedensowe ogłoszenie o poszukiwaniu takiej osoby z wyliczeniem umiejętności i cech, jakie powinna posiadać, a były to właśnie umiejętności i cechy redaktora Ludwika Erhardta. Nie zgłosił się nikt.

A on przy tym wszystkim naprawdę zajmował się też poprawianiem przecinków w cudzych tekstach. Gdy pewnego razu wyjechałam za granicę, udostępniono mi komputer bez zainstalowanego polskiego alfabetu. Przesłałam mój reportaż bez znaków diakrytycznych, aby redakcja mogła zorientować się w objętości tekstu, a sama zamierzałam dostosować artykuł do reguł polskiej pisowni natychmiast po powrocie. Okazało się to zbędne. Cierpliwy Ludwik Erhardt wszystkie kreski, kropki i ogonki wstawił już we właściwe miejsca...

Ostatnio komentarze Ludwika Erhardta czytywałam w programach koncertów Filharmonii Narodowej. Teraz nawet ta skromna możliwość lektury piarstwa niezapomnianego Redaktora Naczelnego się zamknęła. Jakież żal.

--Małgorzata Komorowska

* * *

Ludwik Erhardt przejawiał cechę, której wszechobecny brak u innych bardzo mi teraz przeszkadza – był bezkompromisowy aż do bólu. Oczywiście wszyscy jesteśmy ludźmi, mamy swoje sympatie i uprzedzenia. Erhardt nauczył mnie, a sądzę, że i naszych młodszych współpracowników, czym jest prawdziwa niezależność. Jego zdaniem polegała ona nie tyle na niepublikowaniu logotypów sponsorskich i obszernych podziękowań dla luminarzy życia muzycznego, ile przede wszystkim na misji działania na obrzeżach życia muzycznego. To były jego główne zasady – nie wchodzić w żadne komitety z artystami, nie angażować się w dwuznaczne przyjaźnie z twórcami i instytucjami, tylko obserwować. Erhardt bezwzględnie odpędzał wszystkich, którzy próbowali ugrać coś z redakcją. Przykładem choćby konsekwentne unikanie patronatów medialnych #. W zespole Erhardta nie czuliśmy presji, że musimy się komuś podporządkować. Naczelny z nikim się nie dogadywał, i – co bardzo istotne – nie zależało mu, by ktoś go lubił na siłę. Nikt nie był w stanie go kontrolować – ani ministerstwo, ani ZKP, ani artyści. Był absolutnie niezależny.

Erhardt był naszym mistrzem. Przypominało to stosunki panujące w paryskiej „Kulturze” Jerzego Giedroycia. Wszyscy go szanowali i liczyli się z jego zdaniem, nie wynikało to jednak ze strachu. Zdarzały się sprzeczki i utarczki słowne, ale szybko kończyły przeprosinami. Jego królewski wręcz autorytet nie pozwalał długo chować urazy. Zresztą nikomu nie przychodziło do głowy, żeby sprzeciwiać się dla zasady, ponieważ zazwyczaj... miał rację. Jeśli jednak się mylił, czuliśmy się na tyle bezpiecznie, żeby zwrócić mu na to uwagę. Rozważał rozmaite opinie, lecz ostatecznie sam podejmował decyzje. Nie miał kompleksów. Był prawdziwym szefem. Czwartkowe kolegia o godzinie 11 były jedynym punktem harmonogramu redakcji, którego należało kategorycznie przestrzegać. Erhardt egzekwował terminy, nie pomijał milczeniem uchybień i niedotrzymanych obietnic. Cudownie łączył artystyczne bałaganiarstwo z niezwykle odpowiedzialnością. Poza tym dawał nam poczucie bezpieczeństwa, także w przypadku poważnych kłopotów zdrowotnych i rodzinnych. Zachowywał się wówczas szlachetnie, wręcz rycersko. W natłoku problemów zapewniał nam komfort, zdejmując z nas przynajmniej część odpowiedzialności.

Miał wspaniałe wycucie polszczyzny. Jego teksty, oprócz walorów literackich i poznawczych, zdradzały też nieprzeciętny temperament krytyczny. Był niezwykle uważnym i wrażliwym redaktorem cudzego pisania. Wiele mu zawdzięczam. W moim fachu – być może wszystko.

--Dorota Kozińska

notował Piotr Mika, 31 sierpnia 2021

Od kogo będziemy się teraz uczyć?

✎ Piotr Mika

Co zrobić, gdy wyczekiwana rozmowa z krytykiem muzycznym rozpoczyna się od stwierdzenia, że nie mamy do czynienia z krytykiem muzycznym? Gdy na dodatek jest to osoba, którą zawsze traktowałem jako autorytet właśnie w tej dziedzinie?

Z niemałą treścią podchodziłem do pierwszego spotkania z Redaktorem Wielkim, którego nazwisko wymieniałem dotychczas obok Zygmunta Mycielskiego i Stefana Kisielewskiego. Tak jak oni, jawił mi się jako ikona, przedstawiciel minionej epoki świetności dziennikarstwa muzycznego. Ze względu na ponad 60-letnią różnicę wieku, przygodę czytelniczą z # zaczynałem już z innym redaktorem naczelnym. Pisarską – z jeszcze innym. Erhardta znałem głównie z jego książek i przedrukowanych felietonów. Zanurzenie w świat archiwów jeszcze bardziej klarowało mi obraz pisarza o świetnym zmyśle, szerokim spojrzeniu na sprawy kultury (i nie tylko) i zgrabnym piórze. Jakże błędne były moje obawy przed spotkaniem. Od drzwi domu Redaktora zostałem przyjęty niezwykle ciepło, a w rozmowie byłem traktowany jak równy. Klasa nie pozwoliła mu też na najmniejszy wyraz braku cierpliwości do mojego wielogodzinnego przepytывania.

To ciekawość, ale też chęć poznania i uporządkowania tekstów Ludwika Erhardta sprawiły, że jego osobie poświęciłem temat zeszłorocznej pracy

magisterskiej. Zainspirowany przez prof. Martę Szokę, postanowiłem skonfrontować jego dawne i nowe poglądy na krytykę. Jak z najlepszego podręcznika czerpałem wiedzę o odpowiedzialności za słowo, wrażliwości na piękno języka, dominującej wadze emocji czy samej roli zawodu krytyka – przewodnika i doradcy. Bez zbędnych słów dzielił się mnóstwem rad. Zdążyłem, na szczęście, trochę się odwdzięczyć, oddając pracę w dłonie jej bohatera.

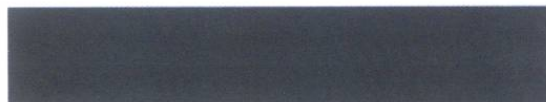
Łączył wiele dobrych cech – był pomocny, sumienny, mówił z niedzisiejszym wdziękiem, często traktował tematy z przymrużeniem oka. Przy całym dorobku miło dziwiła mnie tylko skromność – zdradził mi, że mimo wieku, ma wyraźne poczucie swojej muzycznej niekompetencji. Mówił: „wciąż stąkam po tym gruncie na paluszkach, ale jestem wdzięczny, że mogę tu być”.

W pamięci pozostaną mi jego opowieści o słownych uszczypliwościach z Jerzym Waldorffem, grze w brydża z Hieronimem Feichtem czy rozważaniach Zofii Lissy o tym, jak bliskie więzy łączą Ludwika Erhardta z kanclerzem RFN Ludwigiem Erhardem. Nie zapomnę też obrazów Redaktora w ogrodzie, a także wśród płyt i licznych kotów. Cieszę się, że jego obecność wciąż będę mógł poczuć w jego książkach, felietonach i recenzjach.

Chciałbym, żeby ten tekst – autorstwa osoby, która poznała Ludwika Erhardta w ostatnich latach jego życia – nie był traktowany jako wspomnienie, a raczej jako serdeczne podziękowanie. W wiadomości sprzed kilku miesięcy zostawił mi radę: „Co możesz zrobić dzisiaj, tego nie odkładaj do jutra. Nie wiadomo, czy jutro w ogóle będzie istniało. To moja reguła, do której nigdy się nie stosowałem”.

„Dla WSZYSTKICH, którzy interesują się MUZYKĄ”

✎ Daniel Cichy



Spotkaliśmy się osobiście ledwie kilkanaście razy. Z początku, kiedy rozpocząłem publicystyczną działalność, jeszcze w czasach studenckich, nie miałem odwagi prosić Redaktora Naczelnego # o rozmowę

Autor czytanych przeze mnie książek oneśmielał, znane pióro wprawiało w zakłopotanie, podpatrywana na stołecznych koncertach sylwetka surowością nie zachęcała do bliższego kontaktu. Wtedy wystarczyła satysfakcja wejścia do grona autorów najstarszego pisma muzycznego w Polsce.

Z czasem pomnikowa postać nabierała ludzkich kształtów, a niedościgły wzór stawał się bardziej dostępny. Tak jak wtedy, gdy w baraku przy gmachu Biblioteki Narodowej zamienialiśmy kilka zdań albo mijaliśmy się z rzadka w filharmonicznym foyer. Czy wówczas, gdy – po objęciu stanowiska redaktora naczelnego Polskiego Wydawnictwa Muzycznego – wydobyłem z czełusci archiwum oficyny przekład książki *Diagilew* Richarda Buckle’a i postanowiłem go po wielu latach opublikować. W tym czasie Ludwik Erhardt wyjechał już z Warszawy, zaszył się na Dolnym Śląsku i ograniczył zawodową aktywność. Na liczne prośby o sięgnięcie po pióro odpowiadał, że jego czas się skończył, że nie jest na bieżąco, że zdrowie już nie to... Ostatni raz widzieliśmy się późnym latem

2020 roku. Wraz z Piotrem Matwiejczukiem odwiedziliśmy Ludwika Erhardta w jego domu w Księżycach. Pretekstem była rozmowa, którą planowaliśmy opublikować z okazji 75-lecia #. Opowiadaliśmy o planach wydawniczych, pracy redakcji, pokazywaliśmy numery odnowionego dwutygodnika, zapraszaliśmy na łamy, prosiliśmy o zgodę na inaugurację nowej serii książkowej „Biblioteka Ruchu Muzycznego” antologią tekstów Redaktora Wielkiego, jak o Ludwiku Erhardcie pisał Andrzej Chłopecki. Mówiliśmy o tym, jak ważnym punktem odniesienia dla obecnego zespołu jest dziedzictwo pisma, jak bliskie są wyznawane przez niegdysiejszych redaktorów idee i formułowane przed dziesiątkami lat założenia. Jak choćby te spisane właśnie przez Ludwika Erhardta w 1977 roku. Snując wizję #, pisał:

„Oczywiście, tygodnik. Dla wszystkich, którzy interesują się muzyką. Żywy, aktualny, informujący o wszystkim, co dzieje się w kraju i na świecie. Redagowany i drukowany na tyle szybko, by mógł dotrzymać kroku wydarzeniom i nawiązać dialog z życiem muzycznym. Wiadomości i reportaże, wywiad i felieton, krytyka i esej. Informacja, inspiracja, interwencja. Formy krótkie, język prosty. Autorytet opiniotwórczy. Poczucie partnerstwa.

Zespół redakcyjny niewielki, ale całkowicie pochłonięty pasją wydawania pisma. Biegły w technice pisarskiej i technice drukarskiej, znający muzykę i ortografię. Liczne grono wykwalifikowanych i operatywnych współpracowników, rozrzuconych po całym kraju, dysponujących umiejętnością napisania zarówno kilkunastozdowej, wyczerpującej informacji [...], jak i artykułu, recenzji czy sprawozdania.

Czytelnicy pobłażliwi dla chochlików drukarskich, surowi wobec tandety i banału. Tolerancyjni w wypadku różnicy poglądów, świadomi subiektywizmu i względności wszelkich ocen – także własnych. Dostrzegający różnorodność upodobań i zainteresowań, która nas wszystkich razem broni przed monotonią i stereotypem. Obdarzeni poczuciem humoru. Oceniający pismo na podstawie kilku roczników – nie jednego numeru.

Powiecie, że to trudne, że niewykonalne? Ależ nie, to jest bardzo łatwe. Wystarczy zamknąć oczy”.

